

Mordy dokonane na ludności polskiej zamieszkującej Kresy Wschodnie w okolicy miejscowości Buszcze



Parafia Buszcze wraz z pobliskimi wsiami Kuropatniki, Szumlany, Dworce, Stryhańce, Żuków, Potoczany należała do powiatu Brzeżany i leżała w dawnym województwie tarnopolskim. Była to piękna okolica z kameralnymi wzniesieniami, gdzie miejscowa ludność skupiona w gęsto położonych wsiach i małych miasteczkach wiodła spokojny żywot.

Okoliczne tereny zamieszkiwali przede wszystkim Polacy, Ukraińcy, Rusini i Żydzi trudniący się uprawą roli. Nikogo nie dziwiły mieszane małżeństwa czy domy, w których jednocześnie zamieszkiwało kilka pokoleń.



Kościół w Buszcu jeszcze przed napadem banderowców

Buszcze było znaną w okolicy parafią z charakterystycznym, prawdopodobnie najstarszym na Podolu kościołem, gdzie każdego roku 15 sierpnia na odpust ku czci Wniebowstąpienia Najświętszej Maryi Panny schodzili się mieszkańcy nie tylko z pobliskich wsi, ale i z miejscowości położonych w odległości nawet kilkudziesięciu kilometrów. Szli piechotą rozpoczynając marsz poprzedniego dnia, by rankiem uczestniczyć we Mszy Świętej. Po drodze spali u przychylnych gospodarzy.

W owym XIV-wiecznym kościele pod wezwaniem Matki Boskiej Wniebowziętej znajdował się łaskami słynący obraz Najświętszej Maryi Panny Niepokalanej. Obraz do Polski sprowadził z Rzymu Aleksander Sieniawski. Według podania podczas podróży z Włoch konie zatrzymując się w okolicy Buszcza nie chciały ruszyć z miejsca. Uznając to za proroczy znak obraz oddano do kościoła wybudowanego przez matkę Aleksandra, Katarzynę Sieniawską. Rodzina Sieniawskich podarowała do kościoła również dwa sznury pereł. W późniejszych latach przed obrazem modlił się król Jan III Sobieski. Małą kopię obrazu Matki Bożej miał w domu prawie każdy mieszkaniec Buszcza.

W Buszcu funkcjonowała nowa szkoła i świetlica, w której organizowano przedstawienia. Działała orkiestra dęta oraz chór. Wielkim przedsięwzięciem ostatnich lat była budowa dużego Domu Polskiego, gdzie mieścić się miał Urząd Gminy, Policja, Poczta, Straż Pożarna oraz siedziba Organizacji Przysposobienia Wojskowego „Strzelec”. W Domu była także sala widowiskowa mogąca pomieścić 500 osób, mleczarnia oraz sklep koła rolniczego. Otwarcie obiektu zaplanowano na wrzesień 1939 roku. Buszcze liczyło wtedy ponad tysiąc mieszkańców i było w połowie zamieszkiwane przez Polaków i Ukraińców.

Nienawiść do narodu Polskiego ze strony ukraińskich nacjonalistów narodziła się chwilę po zakończeniu I wojny światowej choć już wcześniej występowały przejawy nacjonalizmu, jak choćby walki w 1918 roku o Lwów wygrane przez Polaków. Potęgowała ją ówczesna propaganda skierowana przeciwko Polakom ze strony nazistowskich Niemiec, czy bolszewickiej Rosji.

„Ukraińscy rycerze śmierci rodzili się, wzrastali, gospodarowali razem ze swoimi sąsiadami, Polakami (...). Przebywali blisko i wszędzie. Mieszkali w sąsiedztwie i wszystko widzieli. Dokonali tego, czego nie udało się dokonać Tatarom, Turkom i czerni Chmielnickiego. Oni, bliżsi i dalsi sąsiedzi mieszkańców kresów narodowości polskiej, zniszczyli ich siedziby ogniem i odebrali im życie karabinem, bagnetem i nożem (...). Nienawiść ta wzbierała podskórnie, jak podziemna rzeka, latami, aby nagle wydostać się na powierzchnię i zalać ziemię kresową, niczym powódź burząca wszelkie tamy moralności i wyobraźni” (1).

Mimo wszystko w czasie dwudziestolecia międzywojennego współistnienie Polaków z Ukraińcami, były względnie normalne. Około 1938 roku stosunki polsko-ukraińskie zaczęły się psuć. Ukraińcy urządzali odtąd oddzielne zabawy i tworzyli własne organizacje.

Wraz z wybuchem II wojny światowej nadeszło zło. Po 17

września 1939 roku, kiedy to armia radziecka wkroczyła do Polski już nic nie było takie same. Od tego też czasu drastycznie nasiliły się prześladowania ludności polskiej ze strony Ukraińców. Polacy bali się wychodzić z domu, a do kościoła udawali się drogą okrężną. Działo się tak mimo, że 21 września do Buszcza przyjechali przedstawiciele radzieckiej władzy oznajmiając, iż nie będzie żadnej „samoistnej Ukrainy”, a Ukraińska Socjalistyczna Republika Radziecka, w której każdy człowiek jest równy. Co ciekawe aresztowano wtedy większych ukraińskich prowodyrów.

Pierwsza napaść na polaków zamieszkujących okolice wsi Buszcze została zaplanowana na noc z 18 na 19 września 1938 roku. Mieszkańców uratował wtedy przejeżdżający szwadron kawalerii polskiej udający się do Buszcza. Następnego dnia jednak całe wojsko odjechało, a wraz z nimi wszyscy okoliczni policjanci. Niemal natychmiast po tym banda Ukraińców ze wsi Potoczany oraz Wierzbowa uzbrojona w siekiery, kosy i widły wtargnęła do Buszcza plądrując budynki użyteczności publicznej. Część Polaków ukryła się, pozostali byli zaskoczeni atakiem. Szczęśliwie wtedy jeszcze nikt nie zginął.

W pobliskiej wsi Żuków oddalonej o 8 kilometrów na południowy wschód od Buszcza banderowcy napadli na 8 śpiących w stodole żołnierzy polskich. Rabując im wcześniej amunicję wszystkich zamordowali. W Hinowicach, w okolicy dworca kolejowego miał miejsce kolejny napad.

Maszynista polskiego pociągu przewożącego jednym wagonem żołnierzy polskich zauważył rozkręconą szynę. Zatrzymał pociąg. Po chwili w stronę polaków posypał się grad kul. Wybuchł pożar. Od południa chłopci ukraińscy z pobliskiej wsi Łapszyny biegli boso w kierunku polskich żołnierzy trzymając widły i pistolety w rękach. Polacy odparli atak mając przy tym jednak dużo szczęścia. Pojawiły się bowiem dwie grupy Ukraińców ubranych w polskie mundury, które w wyniku nieporozumienia odstraszyły innych napastników. Jak wspominał jeden z świadków banderowców było około 800. Później Polacy

naprawili tory i udali się pociągiem do Brzeżan. Był to ostatni polski skład kolejowy z żołnierzami kursujący po linii kolejowej Lwów-Brzeżany. Banda, która napadła na pociąg prawdopodobnie tego samego dnia zamordowała trzyosobową polską rodzinę w Żukowie.

W pobliżu szosy łączącej Buszcze z Dryszowem Ukraińcy zamordowali nieznaną grupę żołnierzy polskich nie posiadających broni. Wyprowadzili Polaków w głąb pobliskiego lasu i zmusili do kopania dołów. Później kazano Polakom, by ci wieszali się wzajemnie, a następnie koledzy, kolegów wrzucali do leśnych grobów tam gdzie wcześniej chowano padnięte bydło. Ostatnich grzebali już sami banderowcy. Wszędzie, gdzie tylko się dało Ukraińcy łapali polskich żołnierzy wracających z frontu. Grzebano ich w wcześniej przygotowanych dołach, które następnie maskowano, by nikt w przyszłości nie wiedział, co kryją.

10 lutego 1940 roku na stacji kolejowej w Buszcu pod dowództwem wojsk NKWD bez wcześniejszej zapowiedzi gromadzono transporty ludności sprowadzone z okolicznych wsi, które następnie wywożono na Syberię. Ludność do Buszcza zwożona była na saniach. Paweł Czerniecki (nieżyjący już mieszkaniec Racławic Śląskich) wspominał, że owej lutowej nocy wywieziono w nieogrzewanych wagonach 102 osoby w tym 30 dzieci. Ludzie umierali w czasie podróży, lub zaraz po tym jak trafili na miejsce zesłania.

Począwszy od roku 1941 wszystkie urzędy w Buszcu obsadzone były już przez Ukraińców. Prześladowania jeszcze bardziej się nasiliły. Na Polaków na każdym kroku czekało niebezpieczeństwo. Jeźdźcy Apokalipsy (tak banderowców nazwał Władysław Żołnowski, autor książki opisującej tragiczne wydarzenia w Buszcu) byli gotowi walczyć o „swoją Ukrainę”. „Siły ludzkie i diabelskie połączyły się w czynieniu zła” (1).

Sąsiad mordował sąsiada

Fala banderowskich mordów rozpoczęła się w pobliskich Szumlanach. Ukraińcy zamordowali 30 listopada 3 Polaków. Miesiąc później wtargnęli do kilku domów w tej wsi i zastrzelili 7 osób.

Pewnego dnia po zakończonej niedzielnej Mszy Św. grupa mężczyzn z Buszcza rozpoczęła przygotowania do obrony ludności polskiej. 18 ochotników podzieliło się i zobowiązało się do czuwania każdej nocy. Mężczyźni czuwali w wybranych domach, z których rysowała się dobra widoczność na okolicę.

Późnym wieczorem 22 stycznia 1944 roku miejscem mordów stało się Buszcze. Nad najwyższym wzniesieniem okolicy pojawiły się wybuchające race koloru czerwonego. Był to sygnał do rozpoczęcia napaści na Polaków.

Banderowcy do Buszcza wjeżdżali na saniach. Dobrze wiedzieli, w których domach mieszkają Polacy, ponieważ przy każdym z nich stał Ukrainiec wskazujący, gdzie atakować. Miejscowość została otoczona. Mieszkańcy zorientowali się o co chodzi, kiedy wracali do domów z zakończonych właśnie nieszporów.

To, co działo się tej straszliwej nocy opisali Ci, którzy cudem przeżyli.

Franciszka Zamojska wspomniała, że wieczorem 22 stycznia zobaczyła przed domem sanie i ciemne postacie. Krzyknęła do męża „Bój się Boga, banderowcy!”. Chwilę potem rozległy się groźby i krzyki, by otworzyć drzwi. Mąż Franciszki chwycił strzelbę i wysunął ją przez otwór w drzwiach, po czym oddał strzał zabijając jednego z Ukraińców. Banderowcy opuścili okolice tego domu, gdyż w ich kierunku posypał się grad kul od strony innego gospodarstwa. Był to jedyny tak odważny i skuteczny przypadek polskiej obrony.

W chwili kiedy Ukraińcy opuszczali gospodarstwo Zamojskich

rozległa się seria strzałów dobiegająca z okolicy kościoła. Miejscowy proboszcz ks. Filip Zając cudem uniknął wtedy śmierci. Słyszając, co dzieje się w jego miejscowości wybiegł z plebanii, w samej nocnej koszuli i udał się w pobliże rzeki gdzie znalazł schronienie. Banderowcy musieli jednak go zauważyć, ponieważ został wtedy postrzelony w rękę. Jego białe ubranie zlało się z śniegiem i pewnie dlatego napastnicy nie mogli go odnaleźć i dobić.



Zamordowana Agafia Zamojska. W dłoniach trzyma obrazek matki Boskiej oraz różaniec. Nie wiadomo

Czterech młodych mężczyzn nie miało tyle szczęścia. Próbowali schronić się w buszczeckim kościele, gdzie znajdowała się ukryta broń. Okazało się, że kościół jest zamknięty. Wcześniej mieszkańcy ustalili, że klucze do kościoła będą znajdowały się na plebanii. Wiedząc to mężczyźni udali się tam. Jak się okazało była to ich ostatnia droga. Na placu przykościelnym zastrzelony serią z automatu został Antoni Zamojski (30 lat). Trzem pozostałym: Janowi Zamojskiemu (19 lat), Mikołajowi Kościów (32 lata) oraz Franciszkowi Skałubie (15 lat) udało się wbiec na plebanie i ukryć w kominie. Tam jednak mordercy wdarli się i wszystkich zastrzelili. Następnego dnia wyciągnięto ich martwych i czarnych od sadzy.

Pewna mieszkanka twierdziła później, iż polaków znalezionych w kominie nie zabili Ukraińcy, ale Niemcy. Zaprzeczył temu

niemiecki oficer, który zobaczywszy łuski od naboju udowodnił, iż nie strzelano z niemieckiego karabinu.

Józefa Gajshajmer wspomniała, że ukrywając się przed banderowcami na strychu słyszała straszliwe krzyki swojej szesnastoletniej sąsiadki Anny Matejowskiej. Na drugi dzień okazało się, że banderowcy po wkroczeniu do jej domu nie mogli znaleźć gospodarza. Całą swoją złość skierowali na Annę, która w ostatniej chwili próbowała wydostać się przez okno.

Mordercy dopadli ją na parapecie. Rozbili okno po czym przebijali jej ciało kawałkami szkła i bagnetami. Rozpruli brzuch po czym obcięli jej piersi i połamali ręce. Martwą pozostawili przewieszoną przez okno. Wybór tego domu nie był przypadkowy, ponieważ ojciec Anny był wcześniej polskim sekretarzem gminy.

Jan Józef Zamojski, który w chwili napadu nie był w swoim domu i cudem ocalał wspominał, co został po powrocie. Na ziemi leżała zabita od ciosów bagnetem matka, która chwilę przed śmiercią zdołała krzyknąć tylko „Matko Boska”. Obok niej leżała siostra Marynia zabita serią z automatu. Napad cudem przeżyła tylko młoda siostra Kasia, która opowiedziała, co widziała. Banderowcy mieli już ją na muszce jednak ostatecznie zrezygnowali z oddania strzału.

Tekla Kuflińska była świadkiem, jak zamordowano jej ojca. Umierał on kilka godzin na jej oczach. Banderowcy zapukali do drzwi. Ojciec Tekli myślał, że to sąsiedzi i otworzył. Napastnicy weszli do środka. Jeden z nich zapytał się, „który to”, a drugi odpowiedział „ten” wskazując na Polaka. Chwilę po tym rozległ się strzał. Ranny ojciec Tekli poprosił, by położyć go na łóżko. Rodzina starała się za wszelką cenę zatamować rany jednak po kilku godzinach ojciec wstał, rozejrzał się po mieszkaniu, powiedział „chcieli mojej krwi, to ją wypili” i zmarł.

Genowefa Gawron usłyszała strzały w pobliżu kościoła, a chwilę

później pukanie do swoich drzwi. Jej babcia natychmiast krzyknęła do syna Stanisława, by schował się pod łóżko, a nie do pieca, gdzie na pewno zajrzą banderowcy. Ten w panice mimo wszystko schował się do komina. Chwilę później puściły zamki w drzwiach.

Banderowcy uderzyli babcię Genowefy tak, że tej wypadły zęby. Później oddali w jej kierunku strzał. Stało się tak, dlatego, że krzyknęła „Matko Boska Buszczecka, ratuj nas”. Banderowcy celując w matkę Genowefy, która trzymała ją wówczas na rękach pytali się, gdzie są mężczyźni? Matka sprytnie odpowiedziała, że jeszcze wieczór i dlatego nie zdążyli wrócić.

Banderowcy przeszukali całe mieszkanie, w tym łóżko, ale do komina jakimś cudem nie zaglądnęli. Tym sposobem Stanisław uniknął śmierci. Napastnicy wychodząc uderzali matkę Genowefy kolbą pistoletu w głowę tak, że ta razem z córką upadła na ziemię.

W domu rodziny Zamojskich banderowcy strzelili do młodej matki trzymającej dziecko. Ta mimo ran zdołała powstać i położyć syna na tapczanie. Chwilę później Ukraińcy strzelili do niej po raz kolejny i umarła.

Ofiarą Banderowców stał się również znany polski lekarz Jan Załuczkowski. Banderowcy wtargnęli do jego domu i zabili go strzałem w głowę. Jan Załuczkowski znany był przez Polaków jak i Ukraińców jako uczciwy człowiek leczący wszystkich niezależnie od narodowości.

Po kilku godzinach banderowcy zebrali się przy głównej drodze, wsiedli na sanie i po tym, jak rozbłysła czerwona flara odjechali w kierunku miejscowości Szumlany, Poruczyn, Dryszczowa i Stryhajce.

Rankiem po straszliwej nocy Polacy szukali osób, którym udało się przeżyć. Pojawił się w Buszcu miejscowy sołtys Wasyl Kucaj. Wraz z Ukraińcami chodził po wszystkich domach przekazując wyrazy współczucia. Tak naprawdę sprawdzał, kto

zginął, a ile osób uszło z życiem.

Transport kilkunastu żołnierzy niemieckich wraz z doktorem szpitala w Brzeżanach Stefanem Bilińskim i sanitariuszem Józefem Bereziukiem dotarł do Buszcza z samego rana. Według relacji świadków żołnierze niemieccy zapłakali po tym, jak zobaczyli spalone domy i zamordowanych w bestialski sposób Polaków.

Lekarze kilkunastu osobom udzielili pomocy. Niemcy kazali rannych wozić do odległego o 25 kilometrów szpitala z Brzeżanach saniami tak, by doktor Biliński mógł pracować spokojnie na miejscu.

„Rano po strasznej nocy żywi opłakiwali pomordowanych i pospiesznie robili trumny” (1). W buszczeckim kościele odbył się pogrzeb 28 zamordowanych, pochowanych w 20 trumnach. Nabożeństwo odprawiało 3 księży. Następnie trumny ułożono na saniach i udano się w kierunku cmentarza.

Część mieszkańców nie mogła być na pogrzebie. Wszyscy pakowali, co tylko mogli chcąc jak najszybciej wyjechać do Brzeżan lub do Lwowa. Kilka rodzin zdecydowało się pozostać jeszcze kilka dni, by załatwić urzędowe formalności.

Jedna z byłych mieszkanek Buszcza wspomniała, że kiedy załatwiała urzędową sprawę u wójta usłyszała od niego słowa żalu z powodu śmierci doktora Załuczkowskiego. Ów Ukrainiec zarzekał się, że nie mogli tego zrobić banderowcy. Chwilę później udał się do izby, gdzie trwała huczna zabawa. Słysząc było ukraińskie śpiewy i toasty.

Ci, którzy przeżyli bali się, ponieważ istniała groźba, że mordercy wrócą. Tak też się stało.

Mordowali raz, a potem znów wrócili

Nie minęła godzina, a pojawili się żołnierze Niemieccy oznajmiając, iż udało im się złapać i zastrzelić mordercę.

Był nim młody, ubrany w niemiecki mundur mężczyzna. Żołnierze obserwowali z okna swojej siedziby zamachowca, który podbiegł do doktora, oddał strzał i natychmiast uciekł. Reakcja Niemców była bardzo szybka, ponieważ większość z nich w tym najbardziej znani oficerowie wermachtu leczyli się u Bilińskiego. Ciało lekarza jak i jego mordercy złożono obok siebie w szpitalnej trupiarni. Dla rodziny mordercy jak i jego znajomych nastały straszne czasy. Podobno ktoś zamordował kilka osób z ich bliskiego otoczenia.

W szpitalu w Brzeżanach został tylko jeden lekarz o nazwisku Danek. Nie nadążał z sprawowaniem opieki nad wszystkimi rannymi. Brakowało bandaży, lekarstw i rąk do pracy.

Banderowcy jeszcze przez kilka dni starali się wyłapywać Polaków, którzy uniknęli śmierci podczas pierwszej napaści na Buszcze. Złapanych mordowano w okrutny sposób.

Piotra Zamojskiego związano drutem i żywcem wrzucono do jeziora gdzie utonął. Marię Zamojską zatrzymano na drodze, pobito i wrzucono do jeziora. Jej ciało wypłynęło 10 lat później. Wtedy też ją pochowano. Józefa Zamojskiego z matką Marią więziono w piwnicy sołtysa z Buszcza kilka dni, gdzie zakatowano ich na śmierć. Znaleźli ich później żołnierze radzieccy. Do podobnych mordów dochodziło także w okolicznych wioskach.



Ołtarz kościoła w Buszcu, z którego został zdjęty obraz Matki Boskiej. Zdjęcie wykonane prawdopodobnie jeszcze przed wybuchem II wojny światowej

23 marca w pobliskiej wsi Wolice zamordowano 40 Polaków. W Kuropatnikach zamordowano 22 mężczyzn.

Banderowcy znali nazwiska osób, którym udało się przeżyć. Ukraińcy dniami i nocami szukali ocalałych, a gdy nie mogli ich znaleźć mordowali najbliższych.

W Buszcu pozostało jeszcze kilku polskich mieszkańców. Nie mieszkali oni jednak już w swoich domach, ale w kościele, do którego wchodzili przez zakrystię. Główna brama została zaryglowana i dobrze zabezpieczona. Za nią ułożono ławki utrudniając dostanie się do wnętrza świątyni.

Podczas napadu kościół został podpalony. Ogień jednak nie zdołał strawić solidnych murów. Ocalał cudowny Obraz Matki Boskiej, który był dla mieszkańców wszystkim, co im pozostało. Każdego wieczoru modli się za zamordowanych prosząc o własne ocalenie. Nieustannie w wieży kościelnej czuwali mężczyźni. Obserwowali oni, co dzieje się w okolicy kościoła. Mieli przy sobie wcześniej ukrytą w świątyni broń. Dorośli kładli się

spać na dole, a dzieci usypiano w wieży.

Kościół był wielokrotnie umacniany po wcześniejszych najazdach tatarskich czy tureckich. Przypominał swojego rodzaju twierdzę. W okółto znajdowały się otwory na lufy armatnie, a po bokach pokoje dla całych chroniących się rodzin. Część zabezpieczeń jednak wcześniej zdemontowano, bo nikt nie przypuszczał, że ludność Polska będzie zmuszona do obrony przed swoimi sąsiadami.

Banderowcy zaatakowali kościół w marcu 1944 roku, dwa miesiące po tym, jak dokonali w Buszcu pierwszych mordów. Polacy dysponowali jednym karabinem Mauzer, butelkami z łatwopalnym płynem, granatami i kamieniami.

Pierwszy atak został bardzo szybko odparty. Drugi nastąpił kilka dni później około północy i skupił się na ostrzale wieży kościelnej. Uniemożliwiło to obronę placu przykościelnego. Dzięki temu Ukraińcom udało się wysadzić bramę i wyrwać ją z zawiasów. Według jednego ze świadków tamtych wydarzeń ten wybuch był tak silny, że deski z wyrwanej bramy doleciały aż do ołtarza kościelnego (30 metrów).

Oprawcy chcieli natychmiast wedrzeć się do środka świątyni. Jeden z braci Zamojskich, który przebywał na wieży szybko zbiegł na dół. Kryjąc się przed gradem kul zdołał w biegających banderowców rzucić granatem. Ukraińcy padli martwi. Ostrzał kościoła trwał jednak jeszcze do godziny trzeciej w nocy. Polacy obronili się. Świątynia ocalała, ale spaliły się wszystkie zabudowania w jej pobliżu.

Jeszcze przed tym napadem kościół został odwiedzony przez mieszkanki Buszcza Franciszkę Żołnowską i jej córkę Józefę, które wcześniej schroniły się w Brzeżanach. Obie kobiety weszły do kościoła przez zakrystię. Znalazłszy się przed ołtarzem głównym otworzyły tabernakulum. Znalazły w środku złoty kielich z komuniami. Skarb schowały pod kurtkę i udały

się do siostry Franciszki – Jadwigi, u której w piwnicy spędziły noc.

Następnego dnia Franciszka przebrała się w najgorsze ubranie jakie posiadała podszywając się pod żebraczkę. Z schowanym kielichem udała się do Brzeżan idąc linią kolejową z grupą podobnie ubranych kobiet.

Kobiety zostały zauważone przez żandarmerię niemiecką. Do Franciszki podszedł jeden z wojskowych. Zobaczył, że na plecach niesie ona dziwny przedmiot. Przypuszczalnie odstraszyły go brudne ubrania i tylko przez nie dotknął kielichów. Przekonany, że to żywność pozwolił kobietom iść dalej.

Franciszka po przybyciu do Brzeżan natychmiast zaniósła uratowany skarb do miejscowych księży. Sprowadzony ksiądz Zajac kiedy zobaczył ocalały kielich i klęczącego przed nim innego kapłana również ukląkł i zapłakał. Był zły na siebie, iż nie przyszło mu do głowy, by samemu zabrać kielich z buszczeckiego kościoła. W obecności wielu księży odprawione zostało specjalne nabożeństwo.

Po drugim, marcowym ataku na Polaków ukrywających się w buszczeckim kościele przyszedł kolejny atak. Tym razem w Wielki Piątek, 7 kwietnia 1944 roku. Tego dnia podpalono wszystkie polskie zabudowania Buszcza. Podpalano także wszystkie żywe zwierzęta. Ich przerażający krzyk słychać było w najdalszych zakątkach miejscowości.

Wtedy w Buszcu musiało pozostać już niewielu Polaków. W sobotę 8 kwietnia kolejny raz podpalono kościół oraz plebanię. Spalił się drewniany dach kościoła, dwie wieże, a ogień stopił dwa dzwony. Przetrwały tylko potężne mury mające około 2 metry grubości. Później okazało się, że cudem ocalał znajdujący się nadal w środku obraz Matki Boskiej.

Świadkowie, którzy widzieli kościół po tym, jak ten został podpalony wspominają, że ogień dotarł w miejsce, w którym

wisiał cudowny obraz. Nadpalona została jego rama, ale wizerunek Matki Boskiej dziwnym trafem pozostał nienaruszony.



Spalony kościół buszczecki

Dowiedzieli się o tym buszczanie przebywający w Brzeżanach. Postanowiono zorganizować grupę kilku osób, która odważy się udać do Buszcza po ocalały obraz. Zgłosili się: Franciszka i Józefa Żołnowskie, ks. Dziekan Łańcucki oraz niemiecki kapitan Wehrmachtu Franc George Moravec. Początkowo obecność Niemca rodziła wiele wątpliwości. Z czasem okazało się jednak, że jest on nie tylko miłośnikiem sztuki, ale także głęboko wierzącym katolikiem. Oficerowi jeszcze w styczniu 1944 roku po pierwszym ukraińskim napadzie o obrazie opowiadał ks. Zając.

Ostatecznie po obraz prócz niemieckiego oficera udała się Józefa Żołnowska, ks. Zając oraz Józef Bereziuk, który mieszkał w pobliskich Hinowicach. Ekipa wyruszyła spod szpitala saniami ciągniętymi przez konie. W ostatniej chwili dołączyło do nich dwoje osób pracujących w szpitalu, którzy wraz z dodatkowym żołnierzem niemieckim mieli chronić transport.

Do Buszcza dojechali w południe. Udało im się odczepić obraz Matki Boskiej i ułożyć go na saniach. Razem z nim zabrano Obraz Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny, który używany był jako zasłona cudownego obrazu. Z pobliskiej plebanii zabrali 3 skrzynie z ocalałymi dokumentami i księgami. Tylko te materiały nie zostały rozkradzione i zniszczone przez banderowców w trakcie plądrowania obiektu.

Wydawało się, że cudowny obraz zostanie uratowany. Jednak w drodze powrotnej grupa została zatrzymana do kontroli przez Gestapo.

Ocaliła ich Matka Boska Buszczecka

Po przygotowaniu transportu z cudownym obrazem ruszono w drogę powrotną z Buszcza do Brzeżan. Droga ta była bardzo niebezpieczna. Grupa osób transportująca obraz została zatrzymana przez Gestapo. Zainteresował ich przede wszystkim przewożony ładunek. Niemiecki oficer wytłumaczył, że znalezione dzieła sztuki zabrał dla siebie z spalonego kościoła. Przypuszczalnie gdyby nie obecność Franca i jego dość wysoka pozycja w hierarchii wojskowej Gestapo natychmiast zarekwirowałoby przewożony ładunek. Ostatecznie udało się obraz bezpiecznie dowieść do Brzeżan, gdzie był przechowywany przez kilka miesięcy.



Ks. Filip Zając był ostatnim polskim proboszczem Buszcza i pierwszym Racławic Śląskich. Został pochowany przy racławickim kościele w pobliżu Matki Boskiej

Z czasem okazało się, iż ludność polska zamieszkująca kresy wschodnie zostanie przewieziona na zachód. Polacy wsiadając do wagonów nie mieli pojęcia, w którym miejscu przyjdzie im wysiąść. Często jedna rodzina jechała kilkoma transportami. Tak było w przypadku Franciszki i Józefy Żołnowskich. Franciszka odesłała córkę wraz z częścią rodziny pierwszym transportem i obiecała, że dołączy do nich po tym jak uda się zabrać ze sobą obrazy. Nie było to łatwe. Istniało niebezpieczeństwo, iż zostaną one przechwycone przez żołnierzy radzieckich.

Ks. Zając przed udaniem się na zachód odwiedzał swoich byłych parafian. We wsi Wolica spotkał Jana Kinała i Stanisława Kielarskiego. Opowiedział im o trudnościach związanych z transportem obrazu. Znajomi księdza obiecali zająć się tą sprawą. Razem z Leonem i Mikołajem Janków, Ignacym Maziakowskim i Józefem Kurstoszem zrobili ogromne pudło z

desek, w którym schowali cenny ładunek. Towarzyszyła im Franciszka Żołnowska.

Ludność do transportu zbierała się w miejscowości Potutor oddalonej od Buszcza o 7 kilometrów. Z pomocą wypożyczonej furmanki obrazu udało się dostarczyć na dworzec kolejowy. Transport wyruszył na zachód.

Pociąg zatrzymał się w Mikulczycach koło Zabrza. Wtedy pojawiła się informacja, że dwie miejscowości: Racławice Śląskie i Wierzch są wolne. Ks. Zając wraz z mieszkańcami Buszcza postanowił przenieść się właśnie tam. Potrzebne były 3 wagony. Udało się je załatwić w Urzędzie Repatriacji w czym duży udział miał proboszcz. Transport nie trafił jednak do Racławic, a w okolice Brochowa koło Wrocławia. Wtedy komunikacja kolejowa była bardzo utrudniona, ponieważ cofające się oddziały niemieckie wysadzały linie kolejowe. Brakowało maszynistów, a sprowadzeni na te tereny kolejarze polscy nie do końca orientowali się w przebiegu linii kolejowych.

15 sierpnia 1945 roku (dzień dawnego Odpustu w Buszczu) transport wyruszył z Brochowa i dojechał do Racławic Śląskich.



Odsłonięta w 1996 roku tablica nawiązuje do najstraszniejszych w dziejach Buszcza chwil. Dziwić może fakt

Większość mieszkańców Buszcza początkowo chciało zamieszkać w Wierzchu, ale okazało się, że niemal cała lokalna ludność przyjęła obywatelstwo Polskie i nie będzie wolnych do zasiedlenia domów. Miasteczko Racławice Śląskie praktycznie wszyscy niemieccy mieszkańcy opuścili w marcu 1945 roku. Ostatecznie tam znalazł się obraz jak i spora liczba przybyłej ludności. Ks. Zając odprawiał Msze Św. w Wierzchu i Racławicach. Później został mianowany proboszczem Racławic i na stałe przeniósł się do tej miejscowości. Począwszy od 15 sierpnia 1946 roku obchodzono w Racławicach Śląskich odpust ku czci Wniebowziętej Matki Boskiej. Dokładnie tak samo, jak wcześniej w Buszcu.

Były to czasy, kiedy władza ludowa szykanowała kościół. Pewnego razu (latem 1948 roku) na racławickiej plebani zjawiła się młoda para. Prosiła ona, by ks. Zając potajemnie pobłogosławił ich związek. Kiedy znaleźli się wewnątrz budynku

ksiądz został przez nich dotkliwie pobity. Później zachorował. Był też wielokrotnie przesłuchiwany przez antykościelne władze. Zmarł w 1951 roku, dwa dni po racławickim Odpuście. Został pochowany przy kościele.

Późniejsi racławiccy proboszczowie dbali, by kult obrazu nie wygasł. Rok rocznie do Racławic Śląskich ściągają tłumy pielgrzymów z całej Polski na uroczystości odpustowe. Byli to głównie byli mieszkańcy kresów wschodnich, a później ich dzieci i wnukowie. Obraz Matki Bożej odnowiono w latach 70-tych. Wydano wtedy odezwę na cały kraj z prośbą o poparcie prac renowacyjnych. Odezwa brzmiała: „Trzeba przywrócić obrazowi wspaniałą świetność i blask. Taki, jakim niegdyś promieniowała tam daleko, na kresowym wzgórzu”. Zebrano wtedy 100 tysięcy złotych. Prace konserwatorskie wykonali konserwatorzy z Krakowa. Podczas odpustu 15 sierpnia 1975 roku dokonano uroczystego odsłonięcia odnowionego obrazu. Większość osób, które wówczas go widziały płakało.

W tym czasie regularnie na uroczystości odpustowe do Racławic przybywał Georg Franc. Wierzył on, że dzięki Matce z Buszcza przeżył wojnę. W Racławicach dziękował za to, że po wojnie wiele lat mógł cieszyć się życiem w dobrym zdrowiu. Jego marzeniem było, by do tej miejscowości przyjechał niemiecki chór i zaśpiewał przed wizerunkiem Matki Boskiej. Przeszkodził temu ogłoszony stan wojenny. Jeszcze w latach 90-tych można było go spotkać w Racławicach. Zmarł kilka lat temu.

Franciszka Żołnowska, dzięki której obraz uchronił się od zniszczenia i przywieziony został do Racławic zmarła latem 1991 roku. Przed śmiercią prosiła ówczesnego proboszcza ks. Kazimierza Świstka, by w soboty odprawiane były nabożeństwa do Matki Bożej. W 1996 roku obchodzono uroczystości 50 rocznicę przywiezienia obrazu do Racławic. W miejscowym kościele odsłoniętą pamiątkową tablicę, na której czytamy: „Pamięci ks. Filipa Zająca oraz zmarłych i zaginionych z parafii Buszcze”.

Podczas tegorocznych uroczystości odpustowych, które odbędą się już za 2 dni jak zwykle nie zabraknie potomków byłych parafian z Buszcza. Uroczysta Suma Odpustowa zostanie odprawiona o godzinie 11. 0 godzinie 15 zostanie odprawiona specjalna Msza Św. w intencji zamordowanych parafian z Buszcza.

Dziś w okolicy Buszcza po większości grobów pomordowanych Polaków nie ma już śladów. Groby polskich kapłanów zostały zbezczeszczone. Z kilku przykościelnych krzyży został prawdopodobnie jeden. Już tylko buszczecki kościół przypomina o straszliwych wydarzeniach, jakie miały miejsce w tej okolicy ponad 60 lat temu. Ze wschodu dochodzą jednak głosy o planowanej renowacji tego obiektu. Ma się z nim znaleźć kopia obrazu Matki Boskiej, która w 1945 roku znalazła swój nowy dom w Racławicach Śląskich.

Co stało się z ukrytym skarbem?

Pewne wydarzenie jakie rozegrało się na wschodzie w 1975 roku może dowodzić, że w 1944 roku nie wszystko zostało uratowane z Buszczeckiego kościoła. Wtedy grupa elegancko ubranych Polaków prawdopodobnie z okolic Krakowa udała się do spalonego kościoła w Buszcu. Świadek tamtych wydarzeń – Ukrainiec, który podglądał, co dzieje się wewnątrz świątyni zeznał, że Polacy rozbili ocalały ołtarz. Znaleźli wewnątrz złote naczynia liturgiczne. Wiadomo, jednak czego tak naprawdę szukali.

W buszczeckim kościele znajdowała się tajna skrytka, której miejsce znane było tylko proboszczowi. W jej wnętrzu przechowywano złote, bezcenne figurki 12 apostołów. Figurki te były wystawiane tylko jeden, jedyny raz w roku. Umierając ks. Zając zabrał ze sobą do grobu tajemnicę ukrycia tych skarbów.

[Źródło](#)